

~~Wydawnictwo Społeczne~~
~~RAO Z N I U~~

Eliza Orzeszkowa

~~178~~



Eliza Orzeszkowa

Daj kwiatek

Architekt
Mariusia.

kl. III.

Korutawicza.

WARSZAWA 1905. SKŁAD GŁÓWNY
W KSIĘGARNI: E. WENDE I SP. LKA.



a ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jada tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzecie państwo starą kobietę, powoli przesuwającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jej odzież, do których też przypiera niekiedy zgarbione plecy, — stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującymi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrownką. Dnie, miesiące, lata, całe długie życie przewędrowała w sposób podobny, wśród tłumu, spychającego ją na miejsca najmniej wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domostw miejskich. To też popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzecz można, w łęk zgięła jej postać, jak wychudłą i malutką stała się twarz, okryta zgrubiałą skórą, jak żółkły i pomiędzy sterzące kości policzków głęboko wpadły jej wargi, jak spłowiwały oczy, czarne snadź niegdyś, jak nad spłowiwałymi źrenicami drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, powieka. A na czole nizkiem, ciemnym, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, mięła ją i wygniała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tem włosów nie widać, bo głowa owinięta jest chustką, która, pomimo starości, zachowała jeszcze barwę żółtą. Końce jej, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łętami na rękawach plecach i piersi. Stopy jej, kroczące po ostrych kamieniach, obute są w płytke obuwie i sine pończochy, ukazujące się niekiedy z pod

Dział.

Znak

750

El. Orzeszkowa
Daj kwiatki

8-3



750



10020728

spódnicy przybranej u dołu w strzępy różnej długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niej przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo tej kobiety? Ja znam ją z bliska. Imię jej Chaita, zawód — łachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczyście mi państwo, że zaznajamiał was śmiem z osobą, zajmującą tak niskie stanowisko społeczne? Czy nie powiecie, że to jest nieprzyzwoitem i niepotrzebnem? Bo cóż wspólnego być może pomiędzy wami a łachmaniarką?

Przebaczcie! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, nierozzerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej i nieszczęśliwej rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwo — ale i wasza także. Co się zaś tyczy niskiego stanowiska, jeżeliby wysokości stanowisk ludzkich mierzonemi bywały wedle przeniesionych cierpień i mokołów, upewniam, że Chaita, łachmaniarka, stałaby na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jej... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonemi czołami i drżąca, żółta powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiłe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznej jakiejś galeryi obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży, i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jej źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jej, uwiedłych i wkleśtych, i zapytywałam w myśli: jaką byłaś za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pocięchy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoją, nim zawiodły cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest wcale bezinteresownem. Znajomość bowiem wlelu historii podobnych stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy źródło mądrości. Śmiem nawet ubolewać nad pisarzem każdym, który historii takich nie ciekaw i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? — była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadej twarzy, z kruczym warkoczem i czarnem okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśleć o błaskach i upałach wschodniego nieba. Urodziła się na wsi — za pozwoleniem państwa — w karczmie. Była to malutka karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niej słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości, szerokie niwy białeły w zimie puszystem posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą kłosów; w pobliżu, wśród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzeńki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały. Należał do dworu, którego też własnością była biedna mała karczemka, dzierżawiona od dziedzicą wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierżawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił też synów i za mąż wydawał córki, jak mógł — niezbyt świetnie zapewne. Chaitę, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia.

Wozem i koniem woził z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu tej ostatniej przez całe życie wyglądał jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białymi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnej zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w której wysokich trawach sypiała niegdyś ogrzewana słońcem majowem, ochładzana gałęzmi rozłożystego głogu; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwisłe swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z niem kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnymi gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonej w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jej było wejść czasem i pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w której stajni beczało kóz kilka, serdecznych jej przyjaciółek, w której ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłej twarzy, przed której progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornej wydobywał ze skrzypiec nieuczone, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na niskiej ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białej mgłę, kłębiącej się po łąkach, na kształt wód, kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jej nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Jednak tęsknili za czymś, czegoś im było żal i lęk... Gdy brat Chaity grał coraz przeciąglej, smętniej, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu

zasłuchane twarze; w ciemnej sionce matka wzdychała głośno, a ojciec, z rudą brodą i okiem posępnem modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniej, coraz żarliwiej, coraz jękliszemi i śpieszniejszymi zawodzeniami...

Wraz z pierwszym wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tem wszystkim Chaita, a może i z czymś więcej jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad którymi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącej zwieszona, ukazały ognistym jej oczom urodziwego młodzieńca, z miękką dłonią, czołem jaśniejącem mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jej opowiadał jej braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królewną, aby marzyć o szczęściu...

Szczęście! *Quel animal est-ça?* mogła-by dziś, gdyby umiała po francusku, zapytać Chaita. Ale ona nie umie po francusku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim, żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: »Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!«

Miasto porwało ją — jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów i wraz z nimi pociągniętą została w wir nieubłagany, wśród którego stopy stopom zazdroszczą każdej piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradać usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okruczę pożywienia, czoła goreją od znoju, serca twardnieją i więdną od widoku twardych kamieni i uwiedłych twarzy, nad którymi nie brzmia i nie przelatają żadne kojące, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieśszoty swobodnej, świeżej przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jej wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiej pracy dopomóż; dzieci, które ją otaczały coraz liczniejszym gronem, wyżywić,

wychować? Czyniła mnóstwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, któremi tak owieszała się cała, że miała zdawać pozór kobiety, garbatej z przodu i z tyłu; potem roznosiła owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jej kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potem jeszcze...

Lecz nie będę opowiadać dłużej, czem była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jedną tylko rzecz powiezieć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz — na ów cmentarz izraelski, który o wiorstę od miasta, na piaszczystym gruncie, wśród niskiego ogrodzenia sterczy lasem czerwonawych kamieni. Chaita chodziła często na piaszczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsał się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc Chaita zanosila się zwykle od placzu; a kiedy potem z przechadzki tej do domu wracała, piaszczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcej. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata, który był dla niej bardzo dobrym, matki, mieszkającej przy niej na starość, syna, który brylantem był w wyplakanem jej oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jej wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zobojętnieli...

Jest ona teraz samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i — żyje...

Czy żyje bez wszelkich już pociech i przyjemności, nic na świecie całym niema, co by zgąste jej oko rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiedle wywołać uśmiech pieścizotliwy, niemal radosny? Spójrzcie teraz, gdy zgięta pod ciężarem kosza, przesuwa

się brzegiem ulicy i podartym kaftanem ściany domostw wyciera. Podniosła nieco głowę w żółtej chustce, oko jej strzeliło iskrą prawie gorącą — uśmiechnęła się i dygocącym głosem zawołała:

— *Chaimkie!* nu! *Chaimkie!*

Mały, sześćioletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał wołanie, przypadł do niej, zarzucił ramiona na schyloną jej szyję, pocałował głośno zmarszczone czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych *inexprimablach* i zielonej bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba; portretowi jego, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całymi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jej wnukiem po najmłodszej córce, po tej właśnie, która przez czas krótki kwitła, jak róża, w kolczatym wieńcu jej życia. Śmierć związała z ziemi różę starej łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jej obraz w pozostawionem przez nią dziecięciu. Chaimek ma włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłej, bladawej twarzy.

Chaimek jest ładnym dzieckiem. Ubranie jego znamionuje w sposób wyraźny profesję babki; od roku już bowiem nosi on kamizelkę z białego perkalu w czarne centki, surducik z perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszyty jest daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosi czapeczkę, bo najczęściej zapomina jej w domu, a na mieście ukazuje się w rudej jarmulce, która przykrywa sam wierzch zaledwie spierścienionych jego włosów.

Chaita zawsze własnoręcznie szyje ubranie Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko, zawsze jednak szczególnym jest

widok starej kobiety, gdy w wielkich okularach, których brzegi zachodzą do połowy pomarszczonego czoła, i w żółtej chustce, ściśle oblepiającej głowę, siedzi na niskim stołku, przy świetle lampki z długim kominem, ciemnymi rękoma przykrawuje, przymierza, zszywa spłowiałe łachmany. Czyniąc to z nadszwycajnym wytężeniem myśli i wzroku, od chwili do chwili pomrukuje półgłosem. Mówić do siebie jest jej stałym zwyczajem. »Kto tam teraz mieszka« szepce czasem. Myśli wtedy o małej, brudnej karczemce, w której urodziła się i wychowała.

— Aj! aj! jakie one były piękne!...

Wspomnienie to o starych drzewach dworskiego ogrodu, pod których cieniem przechadzała się kiedyś, dzieckiem i dziewczęciem będąc.

Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwej pogróżki. Przed wzrokiem jej przepłynęły z srebrnym dzwonieniem fale strumienia i zamigotały czarnymi oczyma wpatrzonych w nie dziewczyny.

Innym jednak razem wzdycha ciężko.

— Kiedy on umarł — mówi — to on bielszy zrobił się, niż ta mąka, którą zawsze nosił na sobie! On młodo umarł. Wory ciężkie na wóz kładł przez całe życie... zmęczył się bardzo i... poszedł sobie...

Potem dodaje:

— Panie świata! połącz duszę jego z duszami Abrahama, Izaaka i Jakóba, i wszystkich miłych Tobie!

A czasem mówi:

— Człowiek podobny jest tchnieniu! dni jego znikają jak cień!

Wtedy myśli o młodej córce swojej, matce Chaimka, o róży, którą z ziemi zwiła śmierć...

Bywają jednak chwile, w których z ręki Chaity wypada gruba igła; ściska ona pięść z wielkim gniewem, czy jej z okularów gniewnie palają.

— Aj! aj! zła kobieta, złodziejka! niegodziwa! jak ona mię obdarła! jak ona mię oszukała! Dwa złote za taki gałgan ode mnie wzięła! a kto mnie za to tyle da? ja nieszczęśliwa jestem! ona mnie zgubiła!

Namyśla się, potem uspokaja i dodaje:

— Nu! kto mnie za to tyle da? Dziewczyna ta od tych bogaczów! Ona na niczem nie zna się i ciągle się tylko śmieje i podskakuje. Ja jej do tego kaftana te błyszczące guziki przyszyję, a pokazywać go jej będę nie z tej strony, gdzie są dziury, ale z tej, gdzie będą błyszczące guziki. Może ona mnie i trzy złote da! Złoty zarobku! toby to szczęście było!...

Marząc o olbrzymim zarobku całej złotówki, i uśmiechając się filuternie na myśl o błyszczących guzikach, które nazajutrz olśnić ma młodą pokojówkę, ciągle śmiejącą się i podskakującą, Chaity czuje, że drzemać zaczyna. Nogi okrutnie bolą ją od kamieni, po których cały dzień chodziła, rada-by się już położyć, wstaje tedy, ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jej stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyła się ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u jej kolan, gwarząc i przypatrując się sporządzanym dla niego szatom, leży teraz u nóg jej, skurczony, uspiiony, i w silnie ściśniętej ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

Wklęsłe wargi Chaity rozwierają się szerokim uśmiechem; stawia lampkę na stole, bierze wnuka w objęcia, i składając na rozrzuconej snem twarzy jego głośne pocałunki, mówi:

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła!

Przy ostatnich wyrazach tak się już śmieje, że aż chichoce prawie. Chaimek się budzi, otwiera senne powieki, i coprędzej niesie do ust niedojedzony przedtem obwarzanek. Babka wsuwa go pod pierzynę.

— *Bobe?* — odzywa się dziecko.

— Nu? — pyta babka, zajęta zdejmowaniem kaftana.

— A gdzie ta dziesiątka, którą ja dziś od *purycy* dostałem? Pytanie to sprawia na Chaicie przykre bardzo wrażenie.

— Gdzie ta dziesiątka! — woła — ja ją za okno wyrzuciłam. Ty ją wyżebrał! a czy ja tobie nie mówiłam, żebyś ty nie żebrał! Jak ty mnie jeszcze raz nie posłuchasz, to ja ciebie różgą wybiję!

Chaimek ani wyrzutów, ani pogróżek babki już nie słyszy. Śpi znowu z obwarzankiem przy ustach, i z ramieniem, ubranem w brudny, gruby rękaw, zarzuconem nad głowę. Ciemne rzęsy rzucają mu na różowe policzki długie cienie, a drobne usta uśmiechają się łagodnie. Stara babka gniewa się jeszcze chwilę, lecz potem wydobywa z kieszeni wyżebraną przez wnuka dziesiątkę i ogląda ją na wszystkie strony, jakby sama przekonać się chciała, że nie uczyniła wielkiej niedorzeczności wyrzucenia jej za okno. Wzdycha przytem ciężko, głową smutnie wstrząsa, lecz nakoniec, wsuwając się pod pierzynę, wymawia:

— Nu! cóż robić! — i dodaje: — Bieda!

Niekiedy babka i wnuk bawią się we dwoje bardzo wesoło. Zdarza się to wtedy najczęściej, kiedy Chaity dość późnym wieczorem wraca do mieszkania swego, niosąc na plecach kosz, pełen kupionych i podjętych ze śmietnisk łachmanów. Mieszkanie Chaity znajduje się w najgłębszym środku labiryntu tego, który składają uliczki i domki żydowskiej dzielnicy miasta Ongrodu. Składa się ono z izdebki tak niskiej, że czerniałych belek sufitu Chaity z łatwością ręką dosięgnąć może, a tak ciasnej, że gliniany piec większą połowę jej zajmuje. Pod jedynym okienkiem izdebki tej, złożonem z malutkich szybek, niema żadnej prawie ulicy; domek bowiem stoi wśród wielkiego nagromadzenia podwórek. Jest ich tam dokoła takie mnóstwo, że nieobeznanemu z miejscowością trudno by się wśród nich zorientować. Rozdzielone malutkimi domkami i płotami przegniłymi, chylącymi się ku ziemi, płaczą się one ze sobą i najróżniejsze posiadają kształty: wążuchne są a długie i kręte,

niby kurytarze, to kwadratowe lub okrągłe, w czarne stajenki i składziki zaopatrzone, stosami śmiecia zjeżone, z kałużami, wiecznie stojącymi wśród ostrych kamieni tu i ówdzie, z nagromadzeniem starych desek, na których w dzień huśtają się gromady dzieci, a które nocami skrzypią i stukają pod powiewem wiatru.

Zdarza się czasem, że Chaimek uprzedza babkę i pierwszy z wycieczek po mieście wraca do izdebki. Roztropne to dziecko. Wśród mroku, panującego w izdebce, wynajduje zapalki, roznieca ogień w małej lampce i stawia ją na okienko, aby przyświecała krokom babki, gdy przebywać ona będzie podwórko, mające kształt długiego, krętego kurytarza. Wszystko to czyni z powagą, z wolną, ostrożnie; potem zaczyna odbywać po izdebce geograficzne poszukiwania. Pograża się naprzód w mrokach zapiecka i z szelestu, który tam czyni, poznać można, iż rozgrzebuje nagromadzone tam stare papiery, potem zagląda pod stół, pod pierzynę i poduszkę babki, i pod swoją własną, w kątku na ziemi leżącą, pierzynkę. Niekiedy poszukiwania te pozostają całkiem jałowe; najczęściej jednak, za piecem albo pod pierzyną, Chaimek znajduje zczerstwiałą bułkę, obwarzanek, albo kawałek chleba czy sera. Wtedy ze zdobyczą swoją siada w kącie izdebki i, zajądając z apetytem znalezione przysmak, oczekuje przybycia babki.

Wkrótce też daje się słyszeć za okienkiem uderzenie o kamienie bruku przydeptanych trzewików Chaity; niskie drzwiczki rozwierają się szeroko, i wsuwają się przez nie: najprzód gorąco żółta chustka, oblekająca głowę starej kobiety, potem zgarbione jej plecy, a potem wielki kosz, sterczący cały różnobarwnymi szmatami, które go przepelniają, i połyskujący tu i ówdzie metalowym guzikiem jakimś, przystrajającym znoszoną odzież. Wtedy Chaimek zrywa się z ziemi, przyskakuje do babki, pomaga jej zdjąć z pleców ciężar, a następnie wyciąga ku niej rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub sera i woła: »Jedz, *Bobel!*« Chaity bierze czasem po-

dawaną jej żywność i je, najczęściej jednak tak jest zmęczoną, że z głośnym stęknieniem siada na ziemi obok kosza, i bezzwłocznie opuszcza ręce. Chaimek zdejmuje lampkę z okna, stawia ją też na ziemi, a sam naprzeciw babki siada i obie ręce chciwie w koszu zatapia. Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwie ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką, długą, falbaniastą suknię z liliowego muslinu. Suknia ta pełna plam i dziur, ale Chaimek ich nie dostrzega, widzi tylko piękny kolor liliowy, i z otwartymi ustami przygląda się gałązkom deseni. Po sukni występuje z kosza kapelusz słomiany, zmięty bardzo, z dnem wydartym, ale ozdobiony wielką różą i opaską z różowej wstążki. Chaimek na widok róży aż chwyta się za głowę obu rękoma, potem, dla lepszego zapewne przypatrzenia się przesłicznym przedmiotowi, wkłada go na głowę babki. Chaita nie wzbrania mu czynić tego, owszem, oczy jej błyszczą i uśmiechają się z pod róży, oleniającej żółte czoło, gdy uszczęśliwiony Chaimek przypatrując się jej, przechyla głowę na obie strony i woła: »Szejne Bobe! a! szejne Bobe!« Po kapeluszu następują buciki, drobne dziecinne obuwie, podarte, zbrudzone, ale z ponsowej skórki. Chaita nie kupiła ich, lecz podjęła z ziemi na obszernym dziedzińcu, u okna pięknego jakiegoś domu. W mgnieniu oka ponsowe buciki znajdują się już na nogach Chaimka. Skacze w nich po izdebce, a co chwila staje, i nisko schylając się, przypatruje się im z uwielbieniem nadzwyczajnym. Chaita, patrząc na uszczęśliwione dziecko, odpoczywa.

— Chaimkie, czy ty dziś nic na mieście nie dostał? — Gdy wymawia te słowa, usta jej drżą trochę i powieki okrywają niepokojnie migocące źrenice. Widocznie wstydzi się własnego pytania.

Kiedy Chaimek odpowiada, że nic nie dostał, Chaita nic mu na to nie mówi, tylko z cicha coś mruczy do siebie, głową trzęsie i wdycha; lecz jeśli tylko sięgnie on do kieszonki i wydobędzie

miedzianą lub srebrną monetę, stara babka wrywa mu pieniądz z ręki, ciska go o ziemię, i w gniew wielki wpada.

— Ty znów żebrał — woła, zrywając się z ziemi i rozpostarte ramiona wyciągając groźnie ku dziecku, które cofa się ku swej pierzynie. — A co ja tobie mówiła? czy ja tobie nie mówiła, że żebrał to wstyd i grzech; ja ciebie za to różgą wybije.

Gdy tak woła, wyraz oczu jej tak jest rozszrożony, głowa i ręce tak się trzęsą, że chociaż sceny podobne powtarzają się często, Chaimek za każdym razem czuje się mocno strwożonym i chowa się pod pierzynkę swą caluteńki, z głową. Tylko malutkie nóżki jego w ponsowych bucikach wyglądają z pod pierzynki, a z innej strony, przez małe uchYLENIE jej, wygląda jeszcze czarne oko, na-pół filuternie na babkę spoglądające. Chaita staje nad parą ponsowych bucików, i miewa do nich długą jeszcze przemowę o wstydzie i grzechu żebraniny. Przy końcu woła gniewnie:

— Zdejm buciki! czy ja je dla ciebie tu przyniosłam?

— Bobe! — odzywa się z pod pierzynki jękliwy głosik.

— Zdejm zaraz buciki, nu!

— Bobe, pozwól mi w nich tę jedną noc przespać!

Głosik przybrał tym razem tak przejmująco błagalne tony, że Chaita czyni pobłażliwy gest ręką i odchodzi ku swemu łóżku. Stamtąd zwraca się raz jeszcze, i spostrzegłszy głowę dziecka, która, zjeżona kasztanowatemi kędziorkami, wygląda już z pod pierzynki, uśmiecha się ku niej i szepce:

— Fiszle! (rybko).

Nazajutrz, gdy Chaimek otwiera ze snu oczy, za okienkiem, na wąskim podwórku, dnieje, błękitnawy brzask poranku napełnia izdebkę, a na mglistym tle tem wydatniej odbija się przygarbiona postać Chaity, w szafirowy kaftan bez rękawów przyodzianej, i z twarzą, zwróconą ku oknu, modlącej się żarliwie. Z szybkimi, krótkimi pokłonami, półgłosem wymawia ona:



— Błogosławionym bądź, Panie świata, który prostujesz zgietych w łęk!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który dajesz siłę strudzonym!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który sen z oczu a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Chaimek wydobywa się z pod pierzynki i w szarej koszulince, a ponsowych bucikach stanąwszy za babką, zaczyna kłaniać się, tak jak ona i mówić:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem ani bałwochwalcą!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś stworzył mnie mężczyzną!

I dalej odmawia poranny pacierz, którego, przez litość nad ubogiem, zaniedbanem dzieckiem, nauczył go uczony Szymszel, ojciec serdecznego przyjaciela jego, małego Mendele.

Stara babka niczego nauczyć go nie mogła, bo oprócz tego, że po całych dniach w domu nie bywała, wiedzy najmniejszej nie posiadała sama.

Napatrzywszy się do syta wymalowanemu na szyldzie olbrzymowi, Chaimek zwrócił kroki swe w stronę placu miejskiego, który, otoczony niskim ogrodzeniem i osadzony mizernymi drzewami, nosi w Ongrodzie wspaniałą nazwę bulwaru. Inne dzieci podążyły w tym samym kierunku, ale ponieważ starszemi były, pobięły prędej. Chaimek z serdecznym przyjacielem swym, młodszym od niego o rok Mendelkiem, szli z wolna, trzymając się za ręce. Po drodze zatrzymywali się przed niektórymi z wystaw sklepowych, tu przypatrując się złotym i połyskującym wyrobom jubilera, gdzieindziej uśmiechając się z rozkoszą na widok bułek i rogali, zdobiących okna piekarni. Do tych ostatnich malutki Mendele, w różowym spencerku i niezmiennie zwisających z pod spen-

cerka białych tasiemkach, wyciągał nawet ręce. Ale Chaimek, o rok starszy, perswadował mu, że bułek i rogali tych brać nie można, a gdyby nawet i dostały się one w ich ręce, na nicby się im nie przydały, ponieważ są *trefnemi*. Mendele nie miał jeszcze zupełnie jasnego pojęcia o znaczeniu *trefu*. Chaimek znał fakt, ale wytłómaczyć go przyjacielowi nie umiał; powiedział więc, że gdy tylko zobaczą Enocha, dziewięcioletniego brata Mendelka, który od pięciu już lat uczy się i bardzo już jest uczonym i nabożnym, zapytają go o to.

Jakoż, gdy, rozmawiając w ten sposób, weszli na bulwar, ujrzeli siedzącego na ławce wyrostka, w długiej, szarej surducinie i czapce, nisko na czoło nasuniętej. Był to Enoch, syn uczonego Szymszela, a brat Mendelka. Dokoła niego zgromadziło się kilku chłopców równego z nim wieku, którzy gwarząc, zwracali się wciąż ku niemu, niby ku sędziemu, albo mistrzowi swemu. Widocznie mały Enoch, słynący z wczesnej uczoneści i nabożności, zajmował wśród rówieśników stanowisko takie, jakie ojciec jego, uczony Szymszel, posiadał wśród mężów dorosłych. Względnie do młodocianego wieku Enocha, stanowisko to było świetnem i zdawało się przyrzekać mu przyszłość najpiękniejszą. Tylko, że ściągła, prześlicznie zarysowana, twarz małego mędrca była bladą i chudą, a oczy jego czarne, ogromne, głęboko zapadły i na świat patrzyły z wyrazem dziwnie jakoś cierpiącym i dziwniej jeszcze poważnym!... Wyglądał tak, jak gdyby wielka owa ilość wiedzy, z której słynął, gromadząc mu się w głowie, wsiąknęła w siebie wszystką krew jego, i jak gdyby owa wielka nabożność, którą tak wczesnie się odznaczał, zjęła mu małą, szczupłą postać nieruchomą sztywnością i owiała nieokreślonym smutkiem.

Chaimek stanął naprzeciw Enocha, obu łokciami wsparł się o jego kolana i, podnosząc ku poważnej twarzy starszego towa-

rzysza twarzą swą okrągłą, ruchliwą, figlarnie orzuconą zwojami kasztanowatych kędziorów, zapytał:

— Enoch! powiedz ty nam, mnie i Mendelkowi, co to jest *tref* i *koszer*? dlaczego nie wolno nam jeść bułek tych, których tam, za oknem piekarni, tak wiele?

Usłyszawszy pytanie to, Enoch, rozjaśnił nieco twarz i już — już odpowiadać zaczynał dwóm, stojącym przed nim, malcom na ich pytanie, gdy inni chłopcy, siedzący na ławce i za nią stojący, jednogłośnie zawołali, że oni o tem już dawno wiedzą, zatem i słuchać nie chcą, a proszą i żądają, aby Enoch opowiadał im lepiej piękną jaką historią. Enoch mnóstwo pięknych historii umie. Nauczył się ich w hederze (przeszedł już bowiem cały pięcioksiąg i znajduje się obecnie w studium elementarnej nauki Talmudu z komentarzem *Rasze*). I teraz więc w krótkich słowach wyjaśniewszy Chaimkowi znaczenie *trefu* i *koszeru*, z poważnymi gestami rozpowiadać zaczął o poprzedzających wyjście Izraela z domu niewoli plagach egipskich. Była to jedna z najstraszniejszych historii Enocha. Plagi po plagach następują długim szeregiem, a jedna od drugiej jest straszniejszą. O grubych ciemnościach, które zaległy były Egipt, dzieci słuchają w niemem osłupieniu, mniejsze już wrażenie wywierają na nie spadające na Egipt chmury szarańczy, różdżka Mojżesza za to, przemieniająca się w węża, zajmuje ich niezmiernie. Coby to było, gdyby każdy z nich przemieniać mógł w ten sposób przedmioty różne we wszystko, czego żąda! Mały Mendele naprzykład przemieniłby natychmiast kamyczek, leżący u stóp jego, w piękną, pulchną *chałę*, a Chaimek rozkazałby uschłej gałązce, którą trzyma w ręce, ażeby stała się taką piękną różą, jak była owa róża, zdobiąca stary kapelusz, znaleziony kiedyś przez niego w koszu babki.

Jakkolwiek przecież gromadkę małych słuchaczy zajmuje żywe opowiadanie Enocha, przerywają je od czasu do czasu drobne epizody,

związku z nią niemające. Tak np. gburowaty Mordko, chcąc znaleźć się bliżej opowiadającego, popchnął Mendelka tak silnie, że zachwiał się on, na tasiemki swe nastąpił i upadł. Chaimka oburzyła krzywda, wyrządzona przyjacielowi. Z zaiskrzonym okiem, ściśniętą pięścią uderzył on parę razy w plecy Mordka, poczem nachylił się, podniósł Mendelka, pocałował go w czoło zwałane piaskiem, pogładził policzek zalany łzami i mocno go potem objąwszy ramieniem, do siebie przytulił. Mendelek przestał płakać, ale w gronie całem powstał, wypadkiem tym wywołany, gwar pewien, na który przecież Enoch w najmniejszej mierze nie zważał i bez względu na to, że przez pół go tylko słuchano, opowiadał dalej.

Wytrwałość ta przyniosła, jak zwykle, skutki pomyślne, bo gdy opowiadanie dosięgło kulminacyjnego punktu swego, więc jednoczesnego wymierania wszystkich pierworodnych egipskich dzieci, uwaga słuchaczy na nowo i w zupełności ku opowiadającemu wróciła. Jednoczesna śmierć pierworodnych wzbudziła przerażenie ogólne. Słuchano o niej z pootwieranemi szeroko ustami, z wyrazem trwogi i głębokiego żalu w oczach. Widocznie dzieci te nie czyniły jeszcze różnicy pomiędzy narodowościami, świat ten zamieszkującemi i nie wiedziały o tem, że jedna z narodowości tych nienawidzić może drugiej i cieszyć się z jej nieszczęść. Mądrość ich nie dosięgła jeszcze stopnia tego, na którym znajduje się wiedza o nienawiści i zemście. Żałowały też pierworodnych egipskich tak zupełnie, jak gdyby były one izraelskiemi. Ale Enoch zbliżał się już do wspomnianego wyżej stopnia mądrości, i nad pierworodnymi egipskimi litości najlżejszej nie uczuwał.

Z błyszczącym okiem i szerokimi gestami opowiadać właśnie zaczynał o płaczach i lamentach, które po owem fatalnem wydarzeniu rozlegały się w Egipcie, gdy nagle...

— Patrz! patrz! — zawołali wszyscy słuchacze i wszyscy

w kierunku jednym powyciągali wskazujące palce, a Chaimek aż zadrżał cały z radości.

Na bulwar weszła kobieta w białej, lekkiej jak obłok, sukni, z ciemnymi splotami jedwabistych włosów nad czołem i ogromną wiązką prześlicznych kwiatów w ręku, obciążniętą rękawiczką. Była to piękna i strojna pani; po obu stronach jej szli też piękni i strojni panowie.

Enoch sam jeden już siedział na ławce, ale nie zwracając uwagi na to, iż odbiegali go słuchacze, prawil z coraz większym zapalem historię swą dwom drzewkom, melancholijnie powiewającym nad ławką mizernymi gałązkami. Przechodząca przez bulwar piękna pani i cudowne kwiaty, które niosła ona w swej dłoni, nie zdołały obudzić w nim zajęcia, od dawna już bowiem próżności i blaski światowe nęcić go przestały, a umysł utonął całkiem w studyach poważnych.

Lecz nic dorównać nie zdoła pośpiechowi, z jakim bardziej lekkomyślni i światowi towarzysze Enocha gonili za zjawiskiem, zachwytem ich budzącem. Gromadą całą biegli oni za panią w białej sukni, chmura kurzawy wzbijała się z pod stóp ich, a krzyki napępniały powietrze. Chaimek szczególnie nie mógł oderwać oczu od prześlicznego bukietu. Dotąd widywał on tylko kwiaty, malowane na starych sukniach, wtłoczonych w kosz starej Chaity, albo te, które z nikłą barwą i zmiętem, martwym obliczem przyozdabiały dziurawe, na śmietnikach podejmowane, kapelusze. Nigdy jeszcze w życiu swem nie widział kwiatów żywych. Teraz zobaczył je i aż zadrżał cały od zachwycenia niewymownego. W zapale swym zapomniał nawet o małym Mendelku, który, nie mogąc dorównać biegowi towarzyszy, usiadł na środku bulwarowej ścieżki i, rzewnie płacząc, wrzeszczał przeraźliwie. Inni chłopcy, mniej śmieli, albo może mniej namiętnie rzucający się ku rzeczom pięknym, biegli za panią w bieli w pewnym oddaleniu, palcami tylko

ukazując ją i jej bukiet. Ale Chaimek zabiegał jej wciąż drogę i wyciągając obie ręce ku kwiatom, błagalne oczy podnosił. Ona nie zważała zrazu ani na dziecko, ani na ruchy jego w pół nieśmiało, w pół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknię jej i z lekka ją ku sobie pociągnął. Stała wtedy i z uśmiechem na dziecko spojrziała. Źrenice jej łagodne spotkały się z roziskrzonymi jak czarne brylanty, oczyma dziecka. Schylona nieco, zapytała:

— Czego chcesz, mały?

Chaimek nieśmiałym ruchem, dotknął końcem palca jej kwiatów. Zaśmiała się, dłoń jej spoczęła na gęstych dziecka kędziarach.

— Poproś ładnie — rzekła.

Chaimek stał nieruchomy i patrzył jej w oczy zalęknionem trochę spojrzeniem, zarazem wargi jego drgać zaczynały, jak gdyby wnet miał się rozplakać. Nie dziw. Języka, którym przemawiała do niego, nie rozumiał.

— Powiedz mały: daj kwiatek!

Chaimek domyślił się, że kobieta uczy go wymawiania nieznanых jakichś wyrazów. Pojętność i uwaga odbiły się mu w oczach, które rozwarły się szerzej.

Wyjąkał i bełkotał zrazu coś niezrozumiałego, lecz po chwili z wybuchem radości i po dziecinnemu przeinaczając trudny wyraz, zawołał wyraźnie i głośno:

— Daj kwiatek!

Wtedy kobieta w białej sukni wesoło i razem głęboko popatrzyła mu w oczy, odłączyła od bukietu swego sporą część kwiatów i podała je dziecku.

Chaimek zawiesił się u jej ręki i okrył ją namiętnymi pocałunkami.

W minutę potem biegł ulicą, wiodącą ku żydowskiej dzielnicy. Trzymał kwiaty w wysoko podniesionem ręku, biegł szybko, nie słyszał wołań goniących go towarzyszy, a od tych, którzy go

doganiali, bronił się rękoma i nogami. W ten sposób przebiegł kilka wązkich zaułków, kilkanaście różnokształtnych dziedzińczyków i wpadł do mieszkania babki.

W chwili tej właśnie słońce zachodziło. Ukośny promień jego padał na drobne szybki i spróchniałe ramy okienka. O! błogosławionem bądź słońce, które ozłacasz niekiedy czarne ściany takich niskich izdebek, szkarłatnymi smugami opasujesz takie niezgrabne, gliniane, piece, i ciepły pocałunek składasz na czole zmarszczonem takiej przygarbionej, zmęczonej, starej, łachmaniarki!

W różowym płomieniu zachodzącego słońca, z kwiatami w wysoko podniesionej ręce, stanął zdyszany Chaimek przed babką, która, na stolku siedząc, drżącymi rękoma przebierała podarte łachmany. Śnieżne lillie, stulistne róże, błękitne jak niebo niezapominajki, wysokie trawy ze srebrnymi brzegami rozblęły w słońcu, niby spadły z nieba odłam tęczy; woń ich upajająca, napełniła izdebkę od czarnego sufitu do glinianej podłogi. Chaita klasnęła w ręce, oczy i usta szeroko ze zdziwienia otwierając.

— *Chaimkie!* — zawołała — aj! aj *Chaimkie* — a zkąd ty wziął te piękności? gdzie ty znalazł takie brylanty? Daj ty mi ich tu, ja im przypatrzę się! Aj! jak one pachną!

Uczucie niewymownej błogości rozlewało się na twarzy Chaity, gdy, wzięwszy piękne kwiaty z rąk wnuka, przyglądała się im z daleka i z bliska, przymrużała oczy, nos, uzbrojony w wielkie okulary, kryła całkiem prawie w kielichu lillii, a szerokie trawy o srebrnych brzegach gładziła dłonią, jakby to były dzieci ukochane, wciąż wołając.

— Aj! aj! jakie to piękne! a jak to pachnie! a jak to błyszczą!...

I trudno-by rozpoznać, które z dwojga tych istot, dziecię czy babka, cieszyło się namiętniej temi arcydziełami natury, co zajaśniały nagle w ciemnym i dusznym ich miejskim więzieniu, tym błyskiem

zbytku, który rozświecił przed nimi — mrok nędzy. Cieszyli się oboje naiwnie, głośno, ale uciecha dziecka dłuższą była. Chaita po kwadransie poczęła głową trząść smutnie jakoś, westchnęła.

— Kiedy ja byłam młoda — szepnęła — i długo potem o czemś szeptała, głową trzęsła, wzdychała, a Chaimek siedział w kątku na pierzynie, opowiadał babce o pięknej pani, o sposobie, w jaki kwiaty od niej otrzymał i całował od chwili do chwili róże i lillie. Lecz babka po wielkiej radości posmutniała, a wśród nocy budziła się, stękała, wzdychała i słyszała, jak w ciemnościach, głosik dziecinny, z dźwiękiem prośby wymówił przez sen: »Daj kwiatek!«.

Chaimkowi śniła się kobieta w białej sukni i śniły się kwiaty; nie dziw, bo oddychał, owiany był cały ich wonią. Nocy tej, niby drugi Heliogabal, spał on na kwiatkach. W obawie, aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę, pod biedną poduszczykę, powleczonej sinem płóciennym.

Bolesne obudzenie! Nazajutrz Chaita, odmawiając, jak zwykle, o wschodzie dnia poranne modlitwy, usłyszała za sobą głośne szlochania. Odwróciła się, i oto jaki obraz przedstawił się jej oczom.

Na wiązce słomy, przykrytej cienką pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranymi, a kolana jego, przykryte starą koszuliną, i drobne nagie stopy osypane były trupami kwiatów. Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął wnet pod poduszkę i wydobyl skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atlasowe liście lillii żółtkłe były i porozdzierane, róże, na-pół ogołocone z koron, sterczały uwiedłymi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania... Nie były to już kwiaty, lecz słabe o nich zaledwie wspomnienia, Chaimek z obwisłymi rękoma patrzył na nie i płakał, szlochając głośno. Daremnie pocieszała go babka, to znowu łajała, grożąc, że go różgą wybije... Chaimek, nie słyszał nic i nie widział! Łzy duże, rzęsiste, strumieniem lały się mu z oczu i, spadając na uwiedłe kwiaty, skrapiały je obfitą rosą. Jedna tam była tylko gałąź niezapominajek,

która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne gwiazdki ze złotemi oczyma zdawały się łagodnie patrzeć na płaczącego chłopczynę...

Był raz wieczór jesienny i smutny. Za okienkiem izdebki Chaity po wążkiem podwórku, z żalosem gwizdaniem przelatywały wichry, a gdy umilkły na chwilę, słychać było szmer deszczu, spadającego na kamienie bruku. Chaita leżała na łóżku, stękała i wzdychała. Wążki promień lampki migotał po twarzy śpiącego obok niej Chaimka, a ona w twarz tę wlepiała nieruchome oczy i, według zwyczaju swego, półgłosem do siebie mówiła:

— Oj! biedne, nieszczęśliwe ty moje dziecko, co z tobą stanie się, kiedy dusza moja rozwód weźmie z moim ciałem! Co z tobą będzie, kiedy Przedwieczny zawoła duszę moją, aby szła ztąd i połączyła się w światłości jego z duszami matki mojej i ojca mego, męża mego Lejby i brata mego Abrahama, dwóch synów moich i kochanej córki mojej Małki? A co ja Małce mojej powiem, kiedy ona mię na tamtym świecie zapyta się: Matulu, co ty zrobiłaś z małym synkiem moim, Chaimkiem? czy ty zostawiłaś tam przy nim kogo, kto chleb w usta jego, a rozum w jego głowę wkładać będzie? Jak ona mię tak zapyta się, ja z wielkiego wstydu oczu na nią, na moją kochaną Małkę, podnieść nie będę mogła, i tylko całą łzami zaleję się, bo miłego synka jej, Chaimka, ja samego jednego na tym świecie zostawię... On tak mały i żadnej rady sobie dać jeszcze nie może... U niego ręce takie małe, że on sobie niemi nic nie zapracuje, a głowa taka głupia, że będzie go do złych rzeczy, do wielkich nieszczęść prowadzić! Oj! biedna, nieszczęśliwa głowa moja!...

Tak rozmyślała i wyrzekała Chaita. Wieczoru tego myślała o śmierci, bo na świecie smutno było i ciemno, wichry żałośnie jęczały, a ją bolały kości i bolała głowa, żółtą chustką owiązana, i koło serca tak się jej jakoś robiło boleśnie, iż myślała, że z ka-

zdem odetchnieniem cząstka duszy jej ulatuje z jej ciała. Przytem srogich od dni kilku doświadczyła zgryzot. Czy to, że sił niedostało jej do gorliwych zachodów, czy, że rywalka jej, Jenta, jako młodsza i zdrowsza, w targu i na śmietniskach ją wyprzedzała, od tygodnia może nie zarobiła nic prawie. Już nawet parę razy otwarcie powiedziała Chaimkowi: Nu, wyproś dziś tam u *puryców* kilka groszy.

Wieczór był już późny i dawno pora było rozebrać się i wsunąć pod pierzynę; ale stara babka leżała w ubraniu i długo mruczała półgłosem, oczu nie spuszczać z twarzy śpiącego wnuka. Potem podniosła się z ciężkością, narzuciła na głowę i plecy dziurawą chustkę i, nie zważając ani na ciemność nocną, ani na deszcz i wicher, wyszła z izdebki. Zgarbiona, z ręką wyciągniętą naprzód, wśród fal deszczowych, które uderzały jej w twarz i przenikały dziurawą odzież, przebywała kręte dziedzińczyki i wążkie uliczki. Stopy jej usuwały się co chwila z ostrych kamieni, albo zapadały w głębokie kałuże, szła bardzo powoli. Doszła nakoniec do celu wędrówki, i wsunąwszy się w ciemną sionkę niskiego domowstwa, zastukała do drzwi, które znalazła omackiem.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz głos mężki.

Chaita z cicha wymówiła swe imię.

— Wejdz!

Izba, do której Chaita weszła, dość obszerną była, ale ubogą. W głębi jej, na prostym stolku, przed stołem, na którym leżała wielka, rozwartą księga, siedział człowiek, w długim do ziemi, wyszarzanem ubraniu, z obliczem ciemnym i całkowicie prawie obrosłem ciemnymi włosy. Człowiek ten wczytywał się w księgę z wielkiem snadź wytężeniem władz duchowych, bo, gdy podniósł wzrok na wchodzącą kobietę, źrenice jego omglone były, jak bywa u tych, którzy z trudnością oderwać się mogą od przedmiotu swych

myśli. Nie rozniewał się jednak, że mu przeszkodzono w zajęciu, i łagodnym głosem zapytał:

— Czego przychodzicie do mnie o tak późnej porze? czy stało się u was jakie nieszczęście?

— Odkąd opuściłam dom moich rodziców, nieszczęście stało się towarzyszem wszystkich dni moich — odszepnęła kobieta.

— Taką widać jest wola Przedwiecznego — surowiej nieco odparł mężczyzna i zapytał: — Czego chcecie odemnie?

Chaita pochylała się i pochwyciwszy ciemną jego rękę, do ust swoich ją przyłożyła.

— *Rebe!* — rzekła — ja przyszedłam prosić cię za wnuka mego, za małe niewinne dziecko, które może bardzo nieszczęśliwym stać się, jeżeli ty nie ulitujesz się nad niem!

Tu rozpowiadać zaczęła o troskach i niepokojach, którymi napępiał ją przyszły los dziecka.

— *Rebe* — mówiła u końca! mowy swej — ja przed tobą serce moje otworzę. Wielki ja grzech popełniłam, sama dziecko to żebractwa uczyłam... *Rebe!* niech twoje oko z gniewem na mnie nie patrzy... mnie ciężko żyć.. Ale ja o dziecko to w wielkim strachu jestem. Ono nauczyło się żebrać, a nauka to zła jest... ona prowadzić może do tego, że on będzie kraść! Aj! aj! *Rebe!* ja tego nie chcę! ja tego bardzo boję się!

I zaczęła w istocie trząść się na całym ciele, jak gdyby miała febrę.

— *Rebe!* ja grzech nie jeden mam na sumieniu mojem! Zdarzało się, że łachman nędzny ja za dobry sprzedam, a kupując rzecz dobrą, zapłaciłam za nią, jak za nędzny łachman. Zdarzało się, że ja oczom ludzkim pokazywałam towar mój z tej strony, z której on cały był, a tę stronę, która była dziurawą, chowałam, jak mogłam! Zdarzało się, że ja dla Jenty, tej, co także łachmanami handluje, wielką zazdrość i nienawiść w sercu mojem miałam, klóciłam się

i biłam z nią o lichego zarobek! Widzisz ty, *Rebe*, że ja przed tobą całe serce moje otwieram, ale ty nie patrz na mnie za to, co ja zrobiłam, z gniewem i pogardą, bo... bo mnie tak ciężko żyć!... Ale ty, *Rebe*, pomyśl sobie, że ja nie chcę, żeby Chaimek mój musiał tak grzeszyć, jak ja grzeszyłam! ja tego bardzo boję się! Ulituj ty się nad małym, niewinnym dzieckiem! Ono takie piękne i takie rozumne i takie jeszcze małe! Weź ty, *Rebe*, wnuka mego pod opiekę swoją, jak tyle już dzieci biednych nieraz brałeś! Zrób ty tak, żeby on mógł uczyć się i rozum do swojej głowy brać, i żeby, jak dusza moja rozwiedzie się z ciałem, ustom jego kawałka chleba nie zbrakło! Ty dobry jesteś, *Rebe*, nad biednymi ludźmi litujesz się zawsze! Miłosierdzie twoje, tak jak mądrość twoja, na cały świat słynie! Niechże i ja znajdę łaskę w oczach twoich i litość w twym sercu!

Drżące mowy starej kobiety *Rebe* słuchał w milczeniu, z uwagą. Myślał potem chwilę, aż rzekł:

— Bądź ty spokojną! ja prośbę twoją spełnię i wnukiem twoim zaopiekuję się! Ja go do domu mego wezmę, składkę na niego zbiorę, do *Talmud Tory* posyłać i sam go uczyć będę!

Twarz Chaity, zboląła i błagalna przed chwilą, zajaśniała radością i wdzięcznością niewypowiedzianą. Zapłakała głośno.

— Czegoż płaczesz? — zapytał *Rebe*.

— O, *Rebe!* przebacz ty moim łzom! głupie to są łzy, ale rzucają się one z serca mego do oczu moich, i ja ich zatrzymać w sobie nie mogę. Jak ty Chaimka mego do domu swego weźmiesz, rozstanę się z dzieckiem mojem... Niema u mnie nikogo na świecie całym, tylko jest on jeden... Ja i on, żyliśmy do tego czasu, jak te dwie krople wody, które wiatr rzuci na piasek, i które ciągle na siebie patrzą. Jak ty, *Rebe*, Chaimka mego do domu swego weźmiesz, zostanę się ja bez niego, jak oko bez źrenicy, jak ciało bez duszy. Pozwól ty, *Rebe*, żebym przynajmniej często do domu twego przychodziła i, na niego patrząc, pocieszała stare oczy moje...

Nazajutrz do izdebki Chaity wszedł Reb Nochim, i wzięwszy za rękę strwożonego i płaczącego Chaimka, zaprowadził go do domu swego.

Kimże jest Reb Nochim? Reb Nochim słynie szeroko wśród izraelskiego plebsu z uczoności, pobożności i miłosierdzia. Talmudystą jest biegłym wielce i naukę kabały studjuje z niezmierną pracowitością. Powiadają niektórzy, iż dla oczu jego nic niema skrytego na niebie i ziemi, ale ja o tem z pewnością twierdzić nie mogę. Wielkiej litości jego za to mam dowody niezbite, bo czyny jej i następstwa widziałam nieraz przed własnymi oczyma. Widziałam nieraz dzieci izraelskie, ubogie, obdarte, głodne, które gromadami całemi przygarniał on ku sobie; widziałam starców niedołężnych, zgarbionych, którym ramię swe za podporę dawał... Ale o tem mówić nie pora... Wspomnę tylko o tym rysie usposobień Rebe Nachima, który wyrzeć może, jak mi się zdaje, silny wpływ na przyszłe ukształcenie moralne i umysłowe Chaimka. Reb Nochim, oprócz hebrajskiego języka i pospolitego żydowskiego żargonu, żadnej innej mowy, ani wyrazu jednego nie rozumie i nie wymówił nigdy. Pograżony całkiem w studiach religijnych, w badaniu szczególniejszej tajemnicy kabały, nad któremi praca, wierząc państwo, żartem wcale nie jest, nie miał może czasu wyuczyć się języka kraju, który dla prapradziadów jego był już krajem rodzinnym. Przypuszczam jednak, że oprócz braku czasu, nieumiejętność ta Rebe Nachima posiada jedną jeszcze przyczynę...

Może jednak te lilie białe, na których przespał Chaimek noc jedną, może te niezabudki, które błękitnem wejrzeniem zdawały się mu mówić: »pamiętaj!«...

...Chaimek mieszka u Rebe Nachima i uczy się do *Talmud-Tory*, ale wieczorami Reb Nochim często sam go naucza. Prowadzi on z dzieckiem długie rozmowy, opowiada mu wiele historyj, zaczerpniętych ze świętych ksiąg Izraela, a ofiara to niemała, gdyż

rozmowy te zabierają mu czas drogi, odrywając go od ulubionych studyów i modłów. Ale czegoż Reb Nochim nie uczyni, gdy widzi, że ktoś biedny potrzebuje pomocy jego, albo, że w jakimś matulkiem sercu wzniecić może wielką miłość dla izraelskiego ludu i wiary jego!

Onegdaj wieczorem Reb Nochim nauczał Chaimka. Siedzieli obaj w niskiej szarej izbie, jeden naprzeciw drugiego; mąż z ciemną twarzą i gęstym zarostem wspierał łokieć na stole a rękę podnosił w górę; dziecię, z okrągłą, pojętną twarzyczką siedziało na wysokim stołku, z nogami w powietrzu, z drobnymi rękoma splecionymi na stole, wyprostowane, uważne, z dwojgiem wielkich oczu utkwionych w oblicze mistrza.

Reb Nochim jest mistykiem. Wierzy on we wszystkie nadprzyrodzone jestestwa, o których opowiadają księgi, lecz dla niektórych aniołów szczególnie serce jego goreje miłością tkliwą. Miłością tą chce on podzielić się ze swym uczniem. Opowiada mu o aniele Sandalfonie, który, stojąc w niebieskich wrotach, pochwytuje modlitwy, lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnej piękności, i splata z nich wieńce, które składa u stóp Jehowy.

Chaimek słuchał o aniele modlitwy z zachwyceniem niezmiernym, i jakby ujrzeć go zapragnął, podniósł w górę oczy. Wtedy, nagle, przed wyobraźnią jego stanęła kobieta w białej sukni, ujrzana kiedyś na bulwarze miejskim; zobaczył schylającą się ku niemu twarz jej łagodną, ze srebrzyście połyskującym okiem i, zapatrzony wysoko, głośno, z uśmiechem wymówił:

— Daj kwiatek!

Rebe Nachima zdziwiły bardzo nieznanne mu wyrazy, które wymówiło dziecię...



745

